
STANISŁAW CZERNIAK

Urodzony w 1948 r. w Mikołowie. Historyk filozofii. Profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie, gdzie kieruje Zespołem Badawczym Antropologii Filozoficznej i Filozofii Społecznej. W latach 1994–2006 współpracował także z Instytutem Filozofii UMK w Toruniu, gdzie wykładał antropologię filozoficzną i prowadził seminarium magisterskie. Stypendysta Fundacji im. A. von Humboldta w latach 1980/81 i 1992. Główne obszary zainteresowań filozoficznych: antropologia filozoficzna, historia filozofii niemieckiej XX w. i socjologia wiedzy. Jest współredaktorem naukowym dwóch tomów pism filozoficznych Maxa Schelera, antologii *Problemy socjologii wiedzy* i *Postmodernizm a filozofia* oraz wydawanej przez UMK serii *Studia z Filozofii Niemieckiej*.

Jako poeta debiutował w 1967 r. w katowickich „Poglądach”. Laureat ogólnopolskiego konkursu na książkowy debiut poetycki w 1986 r. Nagrodzony tom wierszy *Samowiedza* ukazał się drukiem w 1990 r. Kolejne książki poetyckie to: *Wnętrze* (1991), *Impas* (1991), *Nagie że* (2009). Do pozostałych publikacji książkowych autora należą: *Socjologia wiedzy Maxa Schelera* (1981), *Pomiędzy socjologią wiedzy a teologią negatywną. Filozofia Maxa Horkheimera* (1990), *Lorenz, Plessner, Habermas. Dylematy antropologiczne filozofii współczesnej* (2002), *Wokół klasyków socjologii wiedzy. Studia z pojęciowego pogranicza filozofii i socjologii* (2005), *Kontyngencja, tożsamość, człowiek. Studia z antropologii filozoficznej XX wieku* (2006), *Cielesność, kompensacja, mimesis. Wokół pojęciowego instrumentarium współczesnej antropologii filozoficznej* (wraz z R. Michalskim – 2008).

Wiersze: „Nagie że”, „Rzeczywistość”, „Zło”, „Pochwała rozkoszy”, „Pożegnanie”, „Drwa do snu”, „Pieta Rondanini” pochodzą z tomu *Nagie że* (Dom Wydawnictw Naukowych, Kraków 2009) z „Wierszy nowych (1992–2008)”; „Niagara” i „Widoczek” to utwory publikowane po raz pierwszy.

NAGIE ŻE

Tytuł książki: *Nagie „że”**

Zanim będziesz, jaki jesteś,
przed podmiotem i językiem,
cielesnością i ziemskością,
„że” powierza cię wahadłu,
a to waha się i waha:
tu byt, tam niebyt,
tu sapiens, tam pies.

Niczym białym skrzydłem
dobry anioł „że”
twoim przedistnieniem macha,
aż cię wreszcie – przypadkiem – wy-że-rza.

Tak, to cud,
że jest „jest”,
że zdarzył się pan i pies,
że nam się przytrafiło
nagie, ślepe „że”.

* Franz Josef Wetz, *Das nackte Daß. Zur Frage der Faktizität*, Pfullingen 1990.

RZECZYWISTOŚĆ

Oto ul,
a w nim jego możliwości, ukryte potencje.
Plastrów stroma nieskończoność.
Wśród wrzosowisk z innej ziemi,
matka pszczyła z innej bajki.

Nie módl się
do prywatnego przeznaczenia.
Módl się, aby rzeczywistość
istniała pojedynczo,
razem z tobą,
w jednym życiu
i nie oślepiła oczu,
nie spalała wyobraźni,
jedną pewną ręką
kołysała
do snu.

ZŁO

Leżało na plaży żuków tysiące,
przebierało odnóżami, paliło je słońce.
Wybrane egzemplarze podwracał pewien pan.
Nazywał się Gombrowicz: litość w sercu
i egzystencjalny szpan.

Lecz po setnym żuku już się ślizgał ludzki wzrok,
bo ma wstrząsać, a nie wstrząsa
statystycznie częste zło.
Nie jest czynem ducha złego,
perłą z moralnego dna.
Jest przedmiotem postindustrialnego
znoszenia widoku zła.

POCHWAŁA ROZKOSZY

Przyjdź rozkoszy, trwaj,
bo twój krzyk (może zapach)
płoszy śmierć,
która chowa głowę za kotarą,
a pewnego dnia
wyszła chyłkiem do ogrodu
i świętował cały dom
(nawet małe dziecko wie,
jak się czują ludzie i zwierzęta,
kiedy nie ma śmierci w domu).

Przybądź, panuj,
pod twym berłem słońce nie zachodzi,
liście nie opada z drzew,
czas nie mija,
lecz niczym niebiańska trawa
kłosi się i kłosi;
przestrzeń jest jak piramida,
w której wnętrzu ciało nie usycha,
pęk dojrzewa i nie pęka,
błękit nieba wypełniają szczermie
aniołowie i motyle.

Kto miał czelność
wymyślić tę baśń,
że uwięził cię w raj
miłosierny Bóg,
który nie porzucił owcy,
a miałby pozwolić,
by płody szatana,
lęki, zwidy i koszmary,
spekulacje i abstrakcje,
wściekłość, nuda, rozpacz,
miały w swoim posiadaniu
– one i wyłącznie one –
nasze dusze?

POŻEGNANIE

Nie zobaczymy się w niebie.
Już po tamtej stronie,
w pogoni za motylem,
zbiegniesz z rajskiej ścieżki w las,
który jest pomysłem Boga
dla istot śmiertelnych z innej galaktyki,
a dla ciebie i podobnych tobie stworzeń
czymś w rodzaju owocu
z drzewa wiadomości złego i dobrego.

Zbyt próżna i szalona, by szukać
powrotnej drogi,
zastygniesz w motylności,
w bezraju, w bezzczęściu,
beze mnie.

DRWA DO SNU

Wstąpić do zakonu kamedułów,
aby przestać wreszcie mówić do siebie
we śnie.

Rąbać drwa z aniołami.
Leżeć krzyżem wśród aniołów.
Mówić ciszą głosu tylko do aniołów.

Milczeć w nocy,
trwać przy śnie.

PIETA RONDANINI

Kiedyś piszesz wreszcie,
w przedostatnim lub ostatnim akcie,
zamiast strof lub sylab – wiersz,
Pietę Rondanini.

Nieodkuty od języka,
przytulony do matki.

NIAGARA

Z zamulonego umysłu
usunąć tony
mułu.

Odsłonić szare miejsce,
w którym myśli i neurony,
cała twoja biografia
stykają się z rzeczą
(inną?, świętą?),
SAMĄ W SOBIE.

Zbudować na tym miejscu
pensjonat (może hotel?),
niech przyjadą turyści
z żonami, kochankami,
poeci, dziennikarze
(choćby nawet księża);
zjedzą obiad na tarasie,
a potem się wychylą,
żeby spojrzeć w ludzką Niagarę,
obcą, lecz najbliższą ciału przepaść.

WIDOCZEK

Zachodzi słoneczko
za planetę, za las,
ściernisko, moje ciało.

Z lewej, prawej komory
wyfruwają ptaki,
z pępowiny anioły,
z małżowiny żaby.

Przestaje się obracać
wskazówka zegara
sięgająca w marzeniach
do ramion lub do kolan.

Horyzonty, krajobrazy
strącają się ze sceny.

Tylko księżyc świeci (choć nie świeci).
Ziemia płonie (choć nie płonie).

Kto komu to opowie
po odwrotnej czasu stronie?

PIOTR MATYWIECKI

CZAS

*

Chcę mówić o czasie. W czasie mojego życia wiele się ze mną zdarzyło.

Urodziłem się 5 czerwca 1943 roku.

Studiowałem filologię polską. Przez kilkadziesiąt lat byłem bibliotekarzem Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Opublikowałem wiele tomów wierszy. W roku 2009 wydałem we wrocławskim „Biurze Literackim” moje poezje zebrane pod tytułem *Zdarte okładki*.

Jestem autorem dwóch książek eseistycznych: *Kamień graniczny* (w 1994 r., są to rozważania na temat Zagłady Żydów) i *Twarz Tuwima* (w 2007 r., monografia o tym poecie).

W 1997 r. ukazała się ułożona przeze mnie dwutomowa antologia liryki polskiej *Od początku*, obejmująca wiersze od średniowiecza do XX w.

Jestem stałym współpracownikiem II programu Polskiego Radia, brałem udział w ponad tysiącu audycji literackich.

Nieregularnie uprawiam krytykę literacką.

Najważniejszymi wydarzeniami publicznymi, w których brałem udział, był Marzec 1968 r. i okres „Solidarności” jawnej i konspiracyjnej od 1980 do 1989 roku.

Jeszcze więcej zdarzyło się obok mnie i beze mnie.

*

Czy mogę obserwować czas i myśleć o nim, jeśli żyję w czasie, a nigdy poza czasem, jeśli nie ma dystansu poznawczego między czasem a mną?

Czy bycie w czasie ma różną intensywność? Czy mogę być „bardziej” w czasie niż jestem? Czy mogę „mniej” być w czasie niż jestem?

Czy w słowie „jestem” istnieje coś oprócz czasu, na przykład „ja”?

Czy będąc w czasie mogę przeżywać s a m czas, bez tego, co go wypełnia, nawet bez siebie samego, przeżywającego czas?

Czas jest oczywistością, poza którą nie istnieje, nie mogę sobie wyobrazić, że czasu nie ma we mnie i naokoło mnie. Jestem tym samym, co czas – bez wątpliwości. Dlaczego więc mogę, muszę i chcę zadawać sobie pytania o czas, pytania czasu? Dlaczego zadaję sobie wątpliwość co do czasu? Dlaczego oczywistość czasu nie chce być oczywista?

Dlaczego piszę wiersze czasu?

Takie oto wiersze:

X X X

Odsunąć się na chwilę od siebie,
na chwilę od chwili.
Posłuchać jak się czas o czas ostrzy.

X X X

Jedna wskazówka idzie za wspomnieniem
druga za czasem. Od myśli do ciała
pomiędzy nimi jestem wszędzie.
A tam gdzie mnie nie ma
biją godziny.

X X X

Ile lat temu
mnie nie było dla rocznicy moich urodzin,
dla powietrza, wody, ziemi, ognia, łąki
i mojego nieprawdopodobieństwa – trzydziestu trzech lat.
A przecież to jest. Wieczność to jest
sekunda mniej i więcej istnienia niż wiem i żyję,
odjęta mnie, dodana tobie.

X X X

1

Nakręcał zegarek,
aby sekundnik skoczył
choć jeden raz
po życiu.

2

Wskazówka dojdzie do kreski
i na moment z nią się utożsami.
A poza tarczą zegara
niewidzialne rysowanie –
„za chwilę” przedłuża się do „ani chwili”.

DZIENNIK

Zdarzenia pamiętam, okoliczności, datę.
Widziałem jak mijały.
Jestem świadom, że minęły.
Ale dnia kiedy to się działo – s a m e g o dnia –
nie pamiętam.

Żyje się do niewidoczności,
c a ł k o w i c i e .

To jest niepamięć, to niezapomniane.

Czytając przypominasz sobie: „t a k to było”.

Zeszyt zamknięty. Teraz
już bez „jak?”, bez pamięci,
powiedz:

b y ł o .

X X X

Nie spodziewam się terażniejszości.

X X X

Dwie chwile z tego dnia.
Nie po to, żeby porównać.
Wybierz je dla przepaści
między nimi – tylko w niej
dzień jest prawdziwy.

ROBERT MIELHORSKI

Urodzony w 1967 r. – wykładowca na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. W latach 1993–1995 redaktor „Kwartalnika Artystycznego”. Ogłosił zbiory poetyckie: *Góra szybowcowa i inne wiersze* (1992), *Weneckie okna* (1993), *Wybór* (1997), *Inicjały* (1998), *Kartka z Lizbony* (2003), książkę krytycznoliteracką *Na własny rachunek. Teksty z międzyepoki lat 1989–1997* (1999) oraz prozę *Rozpadlina* (1997). Publikował m.in. w „Twórczości”, „Odrze”, „Kresach”, „Toposie”, „NaGłosie”, „Frazie”, „Nowym Nurcie” oraz w antologiach poetyckich. Stypendysta Ministra Kultury oraz Prezydenta Bydgoszczy. Prowadzi studia na temat nowoczesności, dzieciństwa w poezji, współczesnych adaptacji gatunków literackich (cykl liryczny, poemat, elegia), literatury dwudziestolecia 1989–2010. Autor książki historycznoliterackiej *Strategie i mity nowoczesności (Brzękowski, Lipska i inni)* (2008). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i PEN Clubu.

* * *

Kropla po kropli. Szron, lód błyszczący
Jak szklany abażur z brylantów i nadzieja –

Jutrzejszy dzień i kolejna podróż.. Wreszcie – konik drewniany –

Kaspar Hauser dotarł w końcu na rynek w Norymberdze.

Jakub Wassermann odwraca spojrzenie od okna.

Tak, cywilizacja w obliczu Klęski –

PO LATACH

1

Pisałem Górę szybowcową (właściwie) w gorączce.

Cały czas zastanawiając się, że gdyby nie gorączka, całość straciłaby właściwą
aureę, własny
ruch, płynność sensu – zmianę jako treść istnienia...

Bo była przecież zieleń tylko, kilka wydeptanych ścieżek, światło kołyszące się
nad tym
wszystkim, echo milczenia nad sobą zastanowione, czysty akord, błękitny – uno-
szący obłoki,
wreszcie kolorowe t-shirty chłopców migające wśród drzew, dzieci
wdrapujących się na szczyt maleńki jak wnętrze dłoni.

Pisałem Góra – myślałem: Świat. Stamtąd, z wysoka
o zmroku migotanie światła, jak z okna trójkątnego The Georgia Terrace Hotel
w Atlancie...

Dzielnica Downtown w blasku i migotaniu.

I nadto, z pamięci:

Białe latawce jak białe szybowce –

2

Z. Raszewski, *Pamiętnik Gapia. Bydgoszcz, jaką pamiętam z lat 1930–1945*:

Szkoła Szybowcowa rozwinęła się z Koła Szybowcowego LOPP. Utworzone w 1933, Koło dorobiło się pewnej liczby szybowców i zaczęło organizować kursy szybowcowe: teoretyczny (4 tygodnie, opłata 2 złote) i praktyczny (w pobliskim Fordonie). Pole wzlotów mieściło się w Fordonie na Czarnej Górze; stanowiła ona najwyższe wzniesienie w łańcuchu wzgórz, które biegło z zachodu na wschód i tworzyły kiedyś północny brzeg parzeczki. 28 X 1934 odbyło się uroczyste poświęcenie szybowiska i pierwsze u nas zawody szybowcowe w kategoriach A i B. W 1935 przekazano nadzór nad szkołą Komitetowi Wojewódzkiemu LOPP w Poznaniu.

(Należeliśmy jeszcze do województwa Poznańskiego.) W 1939 szkoła, już pod nadzorem komitetu toruńskiego, miała 20 szybowców i samolot RWD 8. Jej absolwenci otrzymywali kategorię A i B. Ogółem wyszkolono tu 1250 pilotów.

3

W poczekalni kolejowej.
Czas zamarł. Uniosłem wzrok znad książki.
Nieobecni wrócili w modlitwie. W mrocznym płomieniu.

Rozłożyli ręce. I jak płatki śniegu
Płyną ze wzniesienia w rześkim porannym powietrzu –

Podniosłem wzrok znad książki,
Jak się patrzy nieobecnym,
Jak mierzy horyzont
Milczeniem. Zmęczony

Nawet nie zauważyłem,
Jak z wolna odeszli ci,
Którzy ze mnie, żrebca,
Z wirujących drobin, zlepili całość.

Obudzili wzrok,
Słuch i mowę. I popłynąłem
Na białych cudownych skrzydłach –

Ponad Downtown w blasku i migotaniu.

HOFFMAN

Najtrudniejszy wiersz. Ciało
Słowa w wielkim płomieniu.

I odchodzi Mostową w kierunku Klarysek.

2009

SONET: PIĘTNASTOLETNI RILKE

Uchwycić ten obraz: w rozedrganiu, delikatnie
Jak pisklę, niczym kroplę w listowiu –
A on dokładnie opowie twoje troski i spełnienia. Tak,
Tę poszczególną. Bycie w istotowości. W organiczności sensu.

I wtedy rodzą się krzyki na schodach. Następnie trzęsienia ziemi.
Wreszcie coś jak szczęk mieczy. I jakaś kobieta za ścianą
Dochodzi do kresu. Ale nad tym wszystkim
Blask kropli rosy, powietrze kołyszące białe dmuchawce.

--- --

Po latach Rilke odwraca się, spogląda przez ramię,
Gdy Hermes ją pociąga najpełniejszą miłością, bo z mroku –
Eurydykę kusi ryzyko, nie lubi monotonii,

Chce mieć to, czego nie posiada,
Musi mieć, jeśli tylko zapragnie –
Po latach Malte gubi się w Paryżu.

SCHUMANN W ENDENICH

1.

Wydawać by się mogło, że szaleństwo całkowicie obezwładnia szalonego. A tak
Przecież nie jest zawsze. Jest się tu, ale i tam: z boku. Ów – z Tam, stoi
Bezradny wobec tego – co Tu. Umysł pracuje nadal sprawnie. Przyływy spie-
nionych fal.

2.

Tyle Linz. To było piękne lato. Zwinność wiewiórek w koronach pobliskich
świerków.
Ból nie wynagradzał, lecz świat się zbliżał. Ażurowe światła. Schody i dźwięki.
W szumie liści złoto najczystsze. Pył, kurz mieniający się nad drogami prowadzą-
cymi donikąd.

3.

Ale wróćmy do Endenich. Schumann
Przybywa tu z własnej woli. Wyłącznie. Czyta,
Ma plany, komponuje. Prowadzi korespondencję.

4.

Wreszcie Klara: rodzi mu kolejne dziecko, którego nigdy nie pozna.
Zatem do Endenich wyjeżdża sam, świadom konieczności.
I tam, wśród ażurowych światła, błysków w konarach dębów i grabów

5.

Oraz muzycznego błękitu, w jasnej obłoczności –
W granicach parku, samotny z wyboru, w poczuciu ulgi.
Dochodzi, dojrzuje do szaleństwa. Dosłownie. I w pełni przytomny.

ZMIERZCH. ZAPADA Z WOLNA

Zmierzch. Zapada z wolna, rozprasza wiązki i resztki
kruchego, niknącego wewnętrznego światła.

Nagle, stajesz w całej oczywistości
życia, własnych

bądź nad tobą dokonanych wyborów. Wstyd? żal? Nie, nic z tych rzeczy. Raczej –
jak złożenie broni, Zgoda...

Z głośnika I koncert e moll.

Uczucie pewności dźwięku. W tym niepewnym, najniepewniejszym ze światów.

Wróciłeś z ogrodu, w którym resztki zimy. Wspomnienia minionego lata
i tego, co jeszcze nie zdążyło się wydarzyć, ale jest przecie nieuchronne.

Nie, to nie rozgoryczenie, raczej stan, w którym przeczuwasz, ale wyraźnie,
że było zgodnie z Planem. I było.

Skrzydło skryło cię w swym cieniu? Na zawsze. Na zawsze? I nie opuszcza.

Jeśli był, profil rzeczywistości – przemknął tylko obok. Rozminęliśmy się, jak
kochankowie na

peronie o ustalonej godzinie.

Rozminęliśmy się, świecie, niepewności. A teraz, zgaśnij.

Posłuszne tony.

Mówić niewypowiedziane? Poznawać niepoznawalne? Słyszeć To,
co jest (choć Tego
nie ma).

MAREK KAZIMIERZ SIWIEC

Urodzony 3 marca 1950 r. w Kętrzynie. Miastem jego wczesnej młodości był Olsztyn. Ukończył prawo na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. Tam też uzyskał doktorat z filozofii (1986). Współtwórca pisma „Filo-Sofija”. Redaguje w nim dział *Filo-Sofija i poezja*. Należy do Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego oraz Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

Opublikował książki poetyckie: *Odwrócone lustro* (1979), *Twój świt ucieka nad ranem* (1984), *Kostka* (1990). Publikował m.in. w „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Okolicy poetów – Kwartalniku”, „Frazie”. Jego wiersze były publikowane w antologiach literackich – *Debiuty poetyckie 1979: antologia* (1980), *Arka poezji* (1998), *Droga do Ashramu, Antologia poezji kontrkulturowej* (1998), *Rozkwita pamięć między wierszami* (2000), a także były prezentowane w telewizji i w radiu.

Autor rozpraw i szkiców z estetyki zebranych w książce *Od Platona do Beard-sleya. Drogi estetycznej metakrytyki* (2005) oraz esejów o współczesnych poetach m.in. Zbigniewie Herbercie, Czesławie Miłoszu, Stanisławie Grochowiaku, Kazimierzu Świągockim. W książce *Los, zło, tajemnica. Ku twórczym źródłom poezji Aleksandra Wata i Czesława Miłosza* (2005) podejmuje namysł nad doświadczeniem zła w poezji obu twórców. Mieszka w Bydgoszczy. Pracuje na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego i w Wyższej Szkole Gospodarki w Bydgoszczy.

ANIOŁ TAJEMNICY

Aniele tajemnicy, dziwny stróżu dziecka w poecie, poety w filozofie, źródła w wędrowcy. Wyzywałem cię na ubitą ziemię wyobraźni, na zbijany z tropu trakt myślenia, na tętniący szlak serca, czyli twardy grunt chybotliwego żywota. Gnałeś raczej mnie niż do mnie, o różnych porach raczej nocy niż dnia. Dlatego mogłem w mroku nieraz wziąć cię za twego straconego brata.

Bywało – przybywaś – jak żarptak w okamgnieniu miecz ognisty rozcina mrok przeszły ślepa bruzdę losu w wyciągniętej dłoni. Próbuję pochwycić twoje żarliwe pióro. Wtedy znikasz jak duch. A w osmalonej dłoni zostaje zwyczajne czarne pióro.

Więc starałem się opisać to, co nie daje się okiełznać, a jest najbliżej – ciarkę udręki i radości, trzask nieznannej kostki, kroplę jeszcze chwilę żywej rosy w pajęczynie, kroplę spadającej gwiazdy na sierpniowym niebie, nade wszystko ciemną kroplę cierpienia. Z nadzieją, że otworzy się jakiś horyzont i uczynię krok ku przestronności świata.

Wybacz, że tak mało rozumiałem z twojego milczenia, skrytej mowy logosu. Zagłuszały ją fale podskórnych trwóg, harmider obrazów, natłok niespokojnych myśli.

Teraz, kiedy moje włosy są podobne anielskim z choinki dzieciństwa, wieniem ci w-dźwięczność. Zwłaszcza za mocny uścisk twoich skrzydeł – jakże okazały się przydatne – kiedy upadłem w rozpacz.

Czy czasami myślisz, gdzie podział się filigranowy chłopczyk z chmurą kręconych włosów? Stoi przed tobą. W jasnym promieniu twego żaru. Wobec tajemnicy.

ROZPOZNANIE

Lekarz robi tomografię. Pacjentka w sile wieku.
Przez nowotwory straciła rodziców i brata.
Lekarz (rozstrzyga się los): „Guzioł jest. Węzły chłonne
wydają się czyste, także wątroba i trzustka.
Resztę wykaże badanie śródoperacyjne.
Byłbym dobrej myśli”.

Pacjentka wychodzi. Będzie ciężka operacja,
później chemia. Kobieta po dniach trwogi
i załamania już żegnała się z życiem.
Nagle widzi przez okno – południe lata.
W upale drżą listki topoli i lipy, a za płotem
przy straganach z owocami krzątają się ludzie.

Już wie
– jest szansa.

BÓL

Dyktator
wiecznie
nowej mody
na przebite
bębenki.

Po kielichu goryczy staje się
wylewny nad miarę
poza skalę
słyszalnych dźwięków.

Ma słuch absolutny,
czyli absolutny głuch.

Ten neologizm wskazuje
jego drugą stronę.

Co znaczy, że żadne namowy, prośby, groźby,
żaden krzyk czy jęk boleści
nie ma prawa przedrzeć się do jego zgodnych
z ideałem tej mody
uszu.

Co więcej, ta absolutność roznosi go
jak zaraza
do wszystkich części ciała.

Tak głucho dudni w każdej z osobna,
zwłaszcza w nerkach czy trzustce,
że ma bladą twarz
i wytrzeszcz oczu.

Trwa nieugiętym trwaniem
niewidzialnego władcy ciała.
Próbuje też wyszarpać kęs duszy.

Jest wzorcem tej nieugiętości,

od której cierpnie skóra
uginają się nogi

poety,
co nie nadąża

za wiecznie nową modą.

styczeń 2009, 31 lipca 2009

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

Rocznik 1943. Poeta, krytyk literacki, eseista, doktor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim i filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim. Współorganizator wystąpień studenckich w marcu 1968 r. na UŁ. Wydał 7 tomików wierszy, w tym *Poezje wybrane* (2004, Biblioteka Poetów), 5 książek eseistycznych i naukowych – *Światopogląd poetów ziemi* (1996), *Od romantyzmu do postmodernizmu* (2006), *Człowiek wobec Boga i świata w poezji* (2006), *Norwid i poeci Powstania Warszawskiego* (2007), *Wizje człowieka w poezji* (2009). Jako poeta debiutował w prasie w 1959 r. Debiut książkowy w 1974 r. Jest laureatem Łódzkiej Wiosny Poetów w latach 1963–1971 oraz ogólnopolskiego festiwalu poezji w Łodzi w roku 1966. Otrzymał wiele nagród (m.in. Nagrodę im. Zygmunta Krasieńskiego – 1994, Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka – 2007, Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida – 2008). Trzykrotny stypendysta Ministra Kultury (1987, 1999, 2001).

W roku 1998 odbyła się w Akademii Podlaskiej w Siedlcach międzynarodowa konferencja naukowa na temat jego poezji. W rok później wyszedł drukiem obszerny tom o charakterze monograficznym pt. „Poezja i egzystencja. O twórczości poetyckiej Kazimierza Świegockiego – studia, szkice, interpretacje”, red. Stanisław Szczęśny, wstęp Krzysztof Dybciak. Jest to dzieło trzydziestu autorów – literaturoznawców, filozofów i biblistów z różnych ośrodków akademickich z kraju i z zagranicy.

Wybory jego poezji ukazały się po rosyjsku (Moskwa 2001), po białorusku (Słonim 2002). W przygotowaniu jest tom jego poezji w językach francuskim i czeskim.

* * *

Dwa wiersze: „Prośba o uśmiech kota” i „Po coś Boże” były już napisane od wielu lat, zanim powiązałem je z nazwiskiem Leszka Kołakowskiego. Pierwszy z nich pomyślany był jako zabawny wierszyk dla inteligentniejszych dzieci, nawiązujący w oczywisty sposób do znanego fragmentu *Alicji w krainie czarów*. Nie bardzo jednak było jasne, o jakiego profesora chodzi w pierwszej jego strofocie. Kiedy zdarzyło mi się przeczytać *Horror metaphisicus*, która to książka bardzo mnie zachwyciła, przyszła mi do głowy myśl, że nie ma lepszego adresata dla tego wiersza jak Leszek Kołakowski, autor „Horroru” i profesor właśnie, w dodatku mieszkający w Anglii,

czyli tam, gdzie urodziła się idea, czy raczej wizja uśmiechu kota. Ponadto był to przecież człowiek o ogromnym poczuciu humoru, mistrz humoru filozoficznego, nie wykluczając też jego metafizycznej odmiany. Pobudzony takim pomysłem dopisałem jeszcze dwie strofki – te, w których jest mowa o Platonie i Stagirycie oraz występuje wyrażenie „horror metaphisicus”. Tego już nawet najinteligentniejsze dzieci mają prawo nie rozumieć. Nie przyszło mi jednak do głowy wysłać wiersz Mistrzowi do Oxfordu. Zanim o tym pomyślałem, było już za późno. Profesor zmarł. Jego śmierć poruszyła mnie jeszcze bardziej niż mogłem się tego spodziewać. Był mi jednak bliski od młodości, zarówno jako znakomity, o niedoścignionym przez nikogo przez współczesnych piórze pisarz, jak również – i przede wszystkim – filozof, którego myśl nigdy nie pozostawiała mnie jedynie w błogim spokoju intelektualnej kontemplacji, lecz zazwyczaj uskrzydlała do twórczych przemyśleń i przyczyniała się do budowania określonej postawy moralnej i społecznej. Nigdy nie zapomnę jakie wrażenie robiło jego nazwisko na studentach, którzy w Marcu '68 powiedzieli ówczesnej władzy politycznej – „nie!” Należałem do nich jako słuchacz filologii polskiej w Uniwersytecie Łódzkim. On był naszym natchnieniem. Dobrze też o tym wiedziały komunistyczne władze PRL-u. Pamiętam, jak już po stłumieniu naszych wystąpień, komitet PZPR w Łodzi zorganizował masówkę robotniczą, na którą wybraliśmy się dobrowolnie, by zaspokoić jedynie polityczną ciekawość, co też tam będzie; a było to w godzinach pracy gdzieś na wolnej przestrzeni. Wybuchliśmy śmiechem na widok znudzonego prostego robotnika trzymającego transparent z napisem: „Precz z filozofią Kołaczkowskiego!” (Swoją drogą były to „dobre” czasy dla filozofii, bo przynajmniej ją zwalczano, a więc się interesowano nią, nie tak jak teraz, głucha obojętność. Co zaś do nazwiska „Kołaczkowski” to był wówczas o tym nazwisku znany dyrygent, który ze swą orkiestrą rozrywkową często występował w radiu). Kiedy przybyłem w 1972 roku do Warszawy studiować filozofię, zauważyłem, jak bardzo był On tu obecny w świadomości niemal wszystkich filozofów, zarówno nauczycieli jak i studentów i doktorantów. Można było momentami odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z Jego kultem. Być może u niektórych Jego rówieśników pamięć o Nim wywoływała wyrzuty sumienia. Ale tych było zdecydowanie niewiele. W każdym razie z całą pewnością mogę powiedzieć, że moje pokolenie kształtowało swoje postawy intelektualne i społeczno-moralne pod mocno odczuwalnym wpływem Leszka Kołakowskiego. Kiedyś przed laty zadedykowałem mu swój mały poemat, nie po to jednak, aby Mu go zaraz pokazać, lecz dlatego że treść i problematyka utworu, w moim odczuciu, odpowiadały jakoś temu, co odnajdywałem w wielu Jego pismach. Nie śmiałem zwracać Mu głowy swoją twórczością i długo nie wysyłałem utworu. Aż przełamane się i w końcu 2006 r. posłałem Mu tomik *Poezji wybranych* z zadedykowanym wierszem „Bóg, szatan, człowiek i równina”. W odpowiedzi przysłał mi, prócz słów podziękowania, słowa, którymi pasuje mnie na poetę metafizycznego. Traktuję je jako przysłowiową kropkę nad „i”, gdyż wielu poważnych badaczy wyraziło już wcześniej podobną opinię o mojej poezji. Po tym liście pomyślałem, że może jednak posłać Jemu, mistrzowi ciepłej, dobrotliwej ironii, „Prośbę o uśmiech kota”. Lecz zabrakło mi odwagi, nie miałem bowiem pewności, czy przyjąłby wiersz z właściwym sobie humorem, czy też znalazłby w nim, zwłaszcza na końcu, jakiś zgrzyt. Tuż po Jego śmierci zdarzyło mi się też czytać własny wiersz, który zaczyna się od antycypacji śmierci w psalmicznym stylu – „Po coś Boże zapalił tyle gwiazd nade mną / Wszystkie zgasną, gdy umrę i odejdę w ciemność”. Mimo, że zdecydowałem się już dawno opublikować ten utwór, zawsze odczuwałem niejasno, że cze-

gość mu brak, aby uznać go za całkowity i zamknięty. I oto teraz nagle nasunęły mi się nowe słowa w rytmie trzynastozgłoskowca w miejscu, które najwidoczniej czekało na rozwinięcie i dopełnienie, aby jednak to nastąpiło, potrzeba było tej szczególnej chwili refleksji w aurze melancholii, jaką zrodziła we mnie świadomość śmierci Filozofa. Dlatego uznałem za stosowne poświęcić ten utwór Jego pamięci. Aktualna wersja wiersza jest o połowę większa od poprzedniej. A to, co w niej nowego, pisane było, jak mi się wydaje, nie tylko w psychologicznym związku ze śmiercią Profesora, ale i z Jego myśleniem o metafizycznym horrorze, w cieniu którego wszyscy bytujemy.

Kazimierz Świągocki

Leszek Kołakowski
77, Hamilton road
OX2 7QA Oxford
Anglia

Sz. P. Kazimierz
Świągocki
Ul. Zielona 44 m. 8
02-913 Warszawa

Oksford, dnia 9-go Stycznia 2007

Szanowny i drogi kolego,

Nieznane mi było wprawdzie do tej pory Pana imię, ale teraz jest już znane i pamiętane z Pana poezji. Długi wiersz, który zechciał mnie Pan zadedykować, przeczytałem z prawdziwym wzruszeniem. Preczytałem też kilka innych wierszy, a raczej mnie je przeczytano, bo sam, z powodu osłabienia wzroku, nie mogę już czytać. Jest Pan najoczywiściej poetą metafizycznym, mistrzem słowa polskiego. Wiersze Pana będą mi rzecz jasna czytane nadal. Odkrywać nowe, piękne i mądre obszary nieznaney dotąd poezji jest zawsze wielkim darem. Zaciekawilo mnie też, że jest Pan pochodzenia wiejskiego. Bardzo serdecznie dziękuję Panu za przyjacielkie słowa, i mistrzowski zbiór.

Najlepsze pozdrowienia,



BÓG, SZATAN, CZŁOWIEK I RÓWNINA

Leszkowi Kołakowskiemu
filozofowi smutku cywilizacji

I rzekł wąż [...]

Żadną miarą nie umrzecie śmiercią.

[...] i będziecie jako bogowie

I Mojż. 3. 4,5

[I rzekł Pan Bóg]

przeklęta będzie ziemia w dziele twoim

I Mojż. 3. 17

Przyszliśmy na ten świat nie po to, by ustanawiać,

lecz aby słuchać prawd przeznaczenia i opatrności.

Ps – Plutarch, Consol. Ad Apol. III E

Część I

INWOKACJA DO ŚMIERTELNYCH BOGÓW

O, nędzni, śmiertelni bogowie

stwarzający na nowo świat,

niech się oczy wasze otworzą,

abyście ujrzeli,

że to ona was ustawicznie stwarza,

jak kwiaty na bagnach zapala,

jak płomienie złych roślin gasi.

Czegóż chcecie od niewinnych rzeczy,

które waszych rąk nie potrzebują?

Ich obrotów nie trzeba przyśpieszać;

one jak przedpotopowe zwierzęta

całe w rytmie świętym zanurzone
 spożywają pokarm przeznaczenia
 w misach ziemi głęboko rozłożony.
 Czy wy jeść tak potraficie godnie
 z ręki Tego, który ziemię karmi
 i oddechem podnosi ją co dzień
 na wysokość najwyższego drzewa,
 dokąd gwiazdy i węże się garną,
 a ptak liścia tknąwszy w śpiew się zmienia,
 czy wy jeść tak, bogowie, potraficie,
 by nie śmierć brać w swe ciała,
 lecz życie?

Nie jesteście, o, śmieszni od scalania,
 wszystko pierzcha z rąk waszych i znika,
 w beład odchodzi i niepamięć.
 Idziecie ziemią pustych mitów,
 złoto Midasa w snach was pali
 jak dawno popełniony grzech.
 Pamięć rozdziela was na dwoje –
 jedno jest miłość, drugie śmierć.
 O, bogowie, o, nędzni bogowie
 stwarzający na nowo świat
 od fundamentów pozoru
 po ostatnią literę i słowo
 nigdzie nie istniejącej mowy!
 Jakiej głosem jesteście Potrzeby,
 czyj to głód się w krwi waszej otwiera?

Część II

RÓWNINA

Oto śni ci się Wielka Równina.
 Zza krawędzi równiny wschodzi człowiek,
 biegnie, upada, znowu biegnie.
 W poprzek przepływa rzeka,
 którą cień drzewa łamie na krzyż.
 Człowiek z trudem dociera do rzeki
 i tonie.
 Równina otwiera się na moment

nad nim i zamyka.
Wiatr zgina drzewo do ziemi,
wiatr niczego nie wyjaśnia.
Próbujesz zrozumieć wszystko od początku.
Ale oto słyszysz głos z własnego wnętrza,
które nie jest twoim głosem
i nie rozumiesz go, jak nie rozumiałeś
obrazu Wielkiej Równiny.
Wiesz tylko, że ten samotny człowiek,
który utonął w nierzeczywistej rzece,
to ty sam.
Woła cię gwiazda światłem,
ziemia jej odpowiada cieniem.
Ale ty nie jesteś światłem
i nie jesteś cieniem,
tylko wołaniem gwiazdy,
odповідzią ziemi,
ich zgody wiecznym zaprzeczeniem.
Pełno cię wszędzie i nigdzie cię nie ma,
jak byś się nie zmienił
w wielki ogień czystego milczenia.

Część III

POMIĘDZY CIAŁEM A RÓWNINĄ

Kto rodzi twoje myśli we śnie?
Kto światło zsyła i głos?
A twój los na ekranie Równiny to skąd?
Wolno ci stawiać podobne pytania,
wolno wierzyć, że droga,
którą szedłeś we śnie,
nie jest jeszcze twoją ostatnią drogą.
Ale teraz możesz przypuszczać,
że Zły Duch rozległych przestrzeni snu
nie jest tylko wymysłem przewrotnych filozofów.
I być może rozumiesz także i to,
czegoś rozumieć nie powinien,
że Zły Duch jest naprawdę Dobrym Duchem.
Woła do ciebie z ciemnej strony świata:

stań się jako bogowie nieśmiertelny!
I ty jak Bóg się stajesz
pomiędzy cieniem a przedmiotem,
pomiędzy myślą a zmyśleniem,
między drogą a przeznaczeniem,
pomiędzy ciałem a Równiną.
Tam jesteś wiecznym świtem
i niekończącym się zachodem;
pochylony nad sobą
między tym, co widzisz,
a tym, co istnieje.
Między mową a wielkim deszczem.
Hodowco niemych zwierząt,
wiotki jak nigdy nie wzeszła roślina;
mówiący, a nie słyszany,
zasłuchany, a nie słyszający
anioła grzmotu,
ani demona wulkanu,
ani żadnej litery, która w Słowie jest.
Zły Duch i Dobry Duch
mówią do ciebie ze wszystkich stron.
Pasterzem jesteś tej Równiny,
cieniem swym karmisz płóche trzody.
Równina wie o tobie wszystko.
Czym byłbyś bez jej zgody?
Otwiera się i zamyka
przed tobą i nad tobą.
Nierzeczywista rzeka
wpływa w twój rzeczywisty sen.
Pochyl się nad brzegami,
dotknij jej dobroczynnych wód!
Ty, który nie jesteś dniem,
ani nie jesteś nocą,
ani powietrzem, ni kamieniem,
ani żadną z rzeczy, które są w tobie,
ani tych, które poza tobą;
jesteś może węża zapatrzeniem
w gałąź snu, na której Bóg zostawił
słodkie jabłka – owoc zapomnienia.

PO COŚ BOŻE

pamięci Profesora Leszka Kołakowskiego

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
wszystkie zgasną, gdy umrę i odejdę w ciemność.
Twa rozrzutność gwiazdzista dla mnie nie pojęta –
dla mizernego ciała taka uczta święta?

Po coś, Boże, zasadził tyle drzew na Ziemi,
dla mnie jedno wystarczy, co nie rodzi cienia
i rośnie tam, gdzie duch mój wypuszcza korzenie,
a z nich idzie pieśń ciała w czasy i przestrzenie.

Po coś, Boże, utworzył tyle ptaków polnych?
Moim polom by starczył jeden ptak, lecz wolny.
Moim lasom, co rosną w głębiach mego ciała,
wystarczy, aby wilga deszcz wyśpiewywała.

Gdybyś mnie był uczynił owadem w powietrzu,
może bytów nadmiaru tak bardzo bym nie czuł. Zawieszony
w nieważkiej eteru przestrzeni
czułbym się bardziej bratem, niżli wrogiem cieni.

I nigdy bym swym skrzydłem tak jak przeszłość kruchym nie
podważał niebiosów, by głos Twój
wysłuchać.
I nigdy bym na Ciebie nie podnosił larum,
dlatego żeś mnie stworzył niedorzeczną marą.

Lecz istniałbym, jak we śnie istnieją pojawy,
przychodzą skąd nie wiedzieć, biją do bram jawy.
Jawa przed nimi bytu otwiera podwoje,
a one dotykając, dzielą byt na dwoje.
I byt tak rozdzielony idzie na rozstaje,
gdzie zarówno trwa wiecznie, jak wiecznie powstaje.

Tak bym i ja się uczył na jawie i we śnie,
jak powstawać i ginąć, a istnieć równieśnie.

Lecz zrodzon z prochu ziemi do nieba wciąż wzlatam
jak wiatr nieświadom siły, która nim pomiata,
jak kometa, kosmosu błędząca ofiara,
w której wszystko spłonęło, został los i wiara.

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
Jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno.
I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą,
Przecież prościej, więc lepiej, gdyby mnie nie było.

Złożony z światła duszy i z ciała ciemności,
czemuż nie jestem, Boże, pewny Twojej miłości?

1994–2009

DO PROFESORA LESZKA KOŁAKOWSKIEGO
PROŚBA O UŚMIECH KOTA

Jeśliś łaskaw, jeśli możesz,
przyślij, zacny Profesorze
– nic ze srebra, nic ze złota,
a jedynie uśmiech kota.

Tu wyjaśniam: chodzi o to,
aby uśmiech był bez kota,
tak sam w sobie, jako taki.
Tak jak bywa lot bez ptaka –
ptaka nie ma, a lot leci
w głąb wszechświata od stuleci.

Czasem bywa taki uśmiech,
gdy kot w nocy w szafie uśnie.
Więc niech spojrzy Pan do szafy,
może tam się uśmiech trafi.

Tym sposobem jak dzirytem
zwalisz w nicość Stagirytę.
Odtąd będzie dowiedzione,
że empiria jest z Platonem.

Przy okazji bardzo wielki
byłby to dla filozofii psikus,
bo by wreszcie na wsze wielki
znikł z niej Horror metaphisicus.

Za to Cię historia uczci,
pomnik Ci stawiając Ku-Czci –
nie z granitu, ni ze złota,
lecz z czystego śmiechu kota.

Andrzej Biskupski

Łódź

Jest „jest”... (między niepewną możliwością a nieuchronną koniecznością)

Tytuł tego tomu poezji¹ jest cenną wskazówką do jej rozumienia – furtką, jak sądzimy, prowadzącą do jej wnętrza. Albo lepiej: jest *pr z e s w i t e m*, jak zresztą podpowie, trochę przekornie, sam poeta, sięgając w wierszu pt. „Kos Martina Heideggera” do kategorii zaczerpniętych z filozofii niemieckiego myśliciela:

Słucham bycia, a to kos.
Prawda bycia się nie skrywa,
lecz zmysłowi się
w prześwicie.
Kwili bosko do pasterza,
kiedy budzi go nad ranem.
Tylko to jest Dasein dane.

Nagie Że, s. 104.

Prześwitem zatem wskazującym na nieskrytość, jaką ma charakteryzować się poezja, czyli mowa wiązana o specyficznym nastawieniu; prześwitem wskazującym na nieskrytość pozwalającą wejrzeć w jej istotę, by / i zobaczyć coś więcej poprzez nią w tym, co nas otacza i w nas samych.

Martin Heidegger, podejmując się eksplikacji „bycia-w”, mówi przy tej okazji o świetle, które jest „światłem naturalnym” w człowieku; i pisze:

„Byt z istoty konstituowany przez bycie-w-świecie sam jest zawsze swoim »tu oto«. [...] »Tu« pewnego »ja-tu« rozumiane jest zawsze na podstawie poręcznego »tam« [...]. »Tam« jest określeniem tego, co spotykane wewnątrz świata. »Tu« i »tam« są możliwe tylko w pewnym »tu oto«, tzn. gdy jest byt, który jako bycie »tu oto« otworzył przestrzenność. Ten byt w swym najbardziej własnym byciu niesie charakter niezamkniętości”.

I dalej:

„*Lumen naturale* w człowieku, jak to się ontycznie obrazowo powiada, nie oznacza nic innego, jak właśnie egzystencjalno-ontologiczną strukturę tego bytu, to, że

¹ S. Czerniak, *Nagie Że*, Dom Wydawnictw Naukowych, Kraków 2009.

jest on w taki sposób, by być swym »tu oto«. Że jest on »oświecony«, oznacza: oświetlony w sobie samym jako byciu-w-świecie, i to nie przez inny byt, lecz tak, iż on sam jest prześwitem. Tylko tak egzystencjalnie oświetlonemu bytowi coś obecnego staje się w świetle dostępne, w mroku skryte².

Nagie Że – poetycki wyraz „pewnego »ja-tu«” – należałoby do tego typu „wskazówek”; i jako takie wiązałyby dwa porządki omawianej poezji: jej aspekt przedmiotowy i aspekt językowy.

Na tę właściwość poezji Stanisława Czerniaka wskazywano już wcześniej, o czym możemy się przekonać z *Not o autorze*, włączonych do książki w postaci zestawu recenzenckich opinii o poprzednich zbiorach poezji autora *Nagiego Że*. „Czerniak – czytamy – tworzy jakby na pograniczu poezji (nazwijmy ją tak) przedmiotowej i lingwistycznej, dystansując się jednak wyraźnie zarówno wobec jednej, jak i drugiej” – pisze Kazimierz Świegocki o zbiorze poety *Impas* (1991). – „Jego poezja przedstawia jakby widowisko wzajemnego przyciągania i odpychania rzeczywistości i słów usiłujących ją dotykać³. Tytuł *Nagie Że* uwyrażnia tę tendencję, zde-rzając porządek rzeczywistości (świadczą może o tym termin „Nagości” jako odpowiednik Rzeczy-albo-Świata) ze spójnikiem „że” reprezentującym porządek składniowo-językowy – jakąś, być może, Syntaksę-Świata.

*

Może jeszcze inaczej: „Nagość” przywołuje – i reprezentuje – Nieskrytość; Nieskrytość-Tego-Co-Jest, gdy jest. Albo Nieskrytość-Tego-Co-nie-Jest, ale może być; w każdym razie w tym ostatnim przypadku jest tak, że owo „nie-Jest” nie jest nieistnieniem w sensie absolutnym – ową Parmenidesową Nicością, której to nie da się uchwycić myślą. W wierszu „Kontyngencja”, sąsiadującym z tytułowym wierszem „Nagie Że”, poeta zapyta, parafrazując fundamentalne pytanie Leibniza: „Czemu świat niż raczej nic?” (*Nagie Że*, s. 55).

*

I jeszcze inaczej. Zdaje się istnieć jakieś mroczne (ale nie do końca skryte) ni-Coś, ni-Nic, jakieś „Jedno”, z którego może się przytrafić „pierwsze” albo „drugie”:

Zanim będziesz, jaki jesteś,
przed podmiotem i językiem,
cielesnością i ziemskością,
„że” powierza cię wahadłu,
a to waha się i waha:
tu byt, tam niebyt,
tu sapiens, tam pies.

Z wiersza „Nagie Że”.

² M. Heidegger, *Bycie i czas*, przeł., przedmową i przypisami opatrzył B. Baran, Warszawa 1994, s. 188-189.

³ *Ibidem*, s. 250.

– „Jedno”, z którego i my się wzięliśmy („Tak, to cud, / że jest »jest«, / że zdarzył się pan i pies”), bo i „nam się przytrafiło / nagie, ślepe »że«” (*ibidem*).

„Że” stanowi zatem pewną Potencjalność, z której wyłania się „nagie, ślepe »że«”, łączące nas ze Światem i Świat z nami – a właściwie włączające nas „do” Świata. Poeta nazywa to wydarzenie cudem, obarczając je zarazem wysoką doniosłością aksjologiczną: cudem jest to, że „jest »jest«” (do kwestii tej przyjdzie nam jeszcze powrócić).

*

Przyjrzyjmy się bliżej owej Potencjalności – owemu „Że”. W partii środkowej tytułowego wiersza pada kwestia, kończąca się dość tajemniczym określeniem:

Niczym białym skrzydłem
dobry anioł „że”
twoim przedistnieniem macha,
aż cię wreszcie – przypadkiem – wy-że-rza.

Nagie Że, s. 54.

Otóż śmiemy przypuszczać, że „wy-że-rza” może znaczyć „wy-rze-za”, ale też „wy-ża-rza”; w ten sposób „że” pośredniczyłoby w procesie wydającym zarówno „żar”, i „rzeźbę”. Rzeźbę co prawda nietrwałą – na wzór rzeźby w drewnie – rzeźbę wyrzezaną, łatwo przecież mogącą rozpaść się w proch lub spłonąć (od żaru), przechodząc ostatecznie w popiół.

W omawianej strofie „zanotowany” jest tedy („ukryty” w niej – ale „wpisany” w jej „strukturę”) pewien proces „stawania się” („przemiany”), a w innym sensie – również pewien rezultat „dekonstrukcji” wyłaniającej się struktury tegoż stawania. Wyobraźmy sobie etapy tego procesu w następujący sposób.

Oto mamy (językowo – w bezokoliczniku) stan o nazwie „wyżarzać” – a wyrażony w trybie czasu teraźniejszego odpowiadający mu proces o nazwie (1) „wyżarza”. Ale mamy też – językowo w bezokoliczniku – stan o nazwie „wyrzezać” i odpowiednio wyrażony, w trybie czasu teraźniejszego, odpowiadający mu proces o nazwie (2) „wyrzeza”. Warto dokonać porównania tych rezultatów, podając je w trybie stanów gramatycznie przeszłych: (1*) „wyżarzał”; (2*) „wyrzezał”. Zauważmy przy tym, że rezultat (1*) sugeruje występowanie czynności „wyżarzania” jako niejasnej co do uzyskania swego rezultatu końcowego (być może, że nawet jeszcze trwającej – „nie-dokonanej”), co znaczyłoby, że być może w ogóle trwającej w dłuższym okresie czasu – w porównaniu z czasem („dokonanym”) „wyrzeżania”, który poprzez formę (2*) od razu oddaje stan faktycznego dokonania tegoż „wyrzeżania”. Odczucie to – w sensie odpowiedniości „semantycznej” i w konsekwencji także „ontycznej” – bierze się stąd, że forma gramatyczna w nazwaniu „wyrzezał” obejmuje zarazem i to, co odnosi się do czasu przeszłego niedokonanego, i to także, co może się odnosić do czasu przeszłego w trybie dokonanym: to, że „wyrzezał” – bo to czynił, i to, że „wyrzezał” – bo ukończył ową czynność, mając przed sobą określony rezultat w postaci faktu wyrzeżania; podczas gdy forma gramatyczna występująca w nazwaniu „wyżarzał” obej-

muje tylko czas przeszły „niedokonany”, gdyż sens aktu dokonanego oddawałoby dopiero słowo to w postaci „wyżarzył”.

Można by teraz powiedzieć, że w rozumieniu „semantyczno”-„ontycznym” proces „wyżarzania” jest procesem „ontycznie” „trudniejszym”, a w wyniku tego uwarunkowania jest także procesem „dłużej” w „rzeczywistym” przebiegu odbywającym się, niż analogicznie rozważany, „łatwiejszy” „technologicznie” proces „wyrzeźniania”. A nie jest przy tym bez znaczenia, że „żar” i „wyżarzanie” to elementy z zakresu „ducha”, „wyrzeźnianie” zaś odpowiadałoby sferze „materialności”; i co więcej – nie jest bez znaczenia i to, że „wyrzeźnianie” jako rzeźbienie w drewnie, w czymś tak nietrwałym, jest tak samo nietrwałe jak łatwo przechodząca w proch nasza „cielesność” – Hiob, nękany chorobami i nieszczęściami, jakie spadły na niego, powie: „jestem podobien prochowi i popiołowi”⁴, łącząc jakby obydwa te zakresy i porządki. „Żar” w tym ujęciu byłby co prawda pozytywnością, o ile, rzecz jasna, można by widzieć w nim reprezentanta „rozumu”, „intelektu” czy „myśli”; ale przecież jako „żar” – w konsekwencji – byłby jednocześnie żywiołem „niszczącym”, spalającym i tak wszystko w końcu na popiół. Ale istnieje też diametralnie odmienna wizja sytuacji człowieka, oglądanego w perspektywie eschatologicznej, który w cielesności odnajdzie swe ocalenie; poeta przywoła ją w wierszu *Koła* poprzez sytuację nawiązującą poetycko do idei wiecznego powrotu zdarzeń – i napisze, nie obawiając się, iż mógł ktoś popełnić błąd, który „nazywa się po łacinie *circulus vitiosus*”:

Dusza jest śmiertelna,
ale ciało powróci
do ciebie
po miliardach lat
krążenia wokół
słońca.

Z tomu *Wnętrze*, 1991; *Nagie Że*, s. 135.

Zwróćmy, na koniec, uwagę i na to, iż za sprawą „Że” wywołane znikąd (nie chcemy twierdzić, że z nicości) „rezultaty” są realizacjami „Że” jako tegoż „Że” potencjalnościami, które miały być w pierwotnym projekcie autorskim modalnościami dobra.

Bo oto w zakończeniu wiersza *Nagie Że* w jego pierwodruku, występującym pt. *Że*⁵, określenie o brzmieniu „dobre” zastąpione zostało określeniem „nagie”; tak że ostatnia strofa zamiast pierwotnego brzmienia:

Tak, to cud,
że jest „jest”,

⁴ *Księga Hioba* 30, 19, cyt. według *Biblii Świętej* w ed. Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego (Warszawa 1959).

⁵ Zob. antologię pt. *Przestrzeń im. Marianny Bocian* (oprac. S. Wroński), prezentowaną w Internecie pod adresem: <http://www.pro.art.pl/poezja/bocian/main.html>, zawierającą m.in. wiersz *Że* S. Czerniaka [dostęp internetowy: 2009 – 07 – 29].

[...]

że nam się przytrafiło dobre, ślepe „że”.
 – uzyskała teraz wykładnię nową:
 Tak, to cud,
 że jest „jest”,

[...]

że nam się przytrafiło
 nagie, ślepe „że”.

Wykładnię nową, podkreślającą to, że sam fakt „istnienia” jest ważniejszy od ewentualnego „dobra”, albo – mówiąc dobitniej: że samo „istnienie” jest „dobrem” – dobrem fundamentalnym.

Doniosła to decyzja aksjologiczna w sytuacji, gdy świat współczesny napiętnowany jest kwalifikacją: „cywilizacja śmierci”. O „cywilizacji śmierci” mówi Jan Paweł II w dwóch encyklikach: *Veritatis splendor* (1993) i *Evangelium vitae* (1995); a samo to określenie jest przeciwieństwem sformułowanego przez papieża terminu „cywilizacja miłości”, wiążącego się z pojęciem „cywilizacji życia”. Przypomnijmy, co mówił Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w Kaliszu (4 VI 1997): „Miarą cywilizacji – miarą uniwersalną, ponadczasową, obejmującą wszystkie kultury – jest jej stosunek do życia”; „Dzisiaj świat stał się areną bitwy o życie. Trwa walka między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci. Dlatego tak ważne jest budowanie »kultury życia«: tworzenie dzieł i wzorców kulturowych, które będą podkreślały wielkość i godność ludzkiego życia”⁶. W kręgu tych wartości – wysiłku na rzecz budowania „kultury życia” – należy widzieć miejsce „antropologii poetyckiej” autora *Nagiego Że*.

Ale byłby jeszcze drugi w swych konsekwencjach aspekt decyzji „rezygnacji” poety z „dobra” na rzecz określenia „nagie”; zostało w ten sposób podkreślone przywiązanie do „nieskrytości” – a więc do prawdy, w jej, oczywista, wczesnogreckim rozumieniu: jako *alétheia*. Tym samym „dobrem” staje się dla niego „prawda”. Czy może – ostrożniej mówiąc – perspektywa jej osiągnięcia.

*

„Istnienie” (istnienie jako takie, w szczególności jako „bycie tego »tu oto«”) oraz „prawda” – wskazane przez nas jako wartości wysoko cenione w omawianej poezji (a byłyby to zarazem elementy składające się na możliwą do wyobrażenia syntezę w postaci „antropologii poetyckiej” jej autora) – nie są jedynymi tej poezji „transcendentaliami”. Wskażemy na wagę jeszcze niektórych spośród nich.

⁶ *Homilia kaliska Ojca Świętego* – cyt. według tekstu zamieszczonego w Internecie pod adresem: <http://www.info.kalisz.pl/pope/index.htm> [dostęp internetowy: 2009 – 10 – 17]. Tak zatem za „wstydem” skrywa się (albo wylania się „zza” i „jaśniej”) tak cenne t r a n s c e n d e n t a l e jak „prawda”. Jest przy tym aksjologicznie istotne, iż przywołana w wierszu, a obecnie omawiana, sytuacja wiąże się z kolei z „uderzeniem gromu”, a grom, grzmoty i błyskawice – jak poucza *Słownik obrazów i symboli biblijnych* M. Lurkera (w przekł. bp. K. Romaniuka, Poznań 1989, s. s. 26, hasło: „Błyskawice i grzmoty”) – „dają znać o niezmiernie potężde Boga (Hi 26, 14)”.

Spójrzmy oto na wiersz *Koniec procesu*, otwierający zbiór *Nagie Że*, i jego zakończenie z przywołanym w ostatnim wersie „wstydem”. „Wstyd” musi wywołać skojarzenie z „nagością”, o której już mówiliśmy wcześniej, wskazując m.in. na cechę „nieskrytości”, jaka się z nią wiąże, a więc i na „prawdę” rozumianą w duchu wczesnogreckiego *alétheia*.

Rekapitulując to i powracając do początku utworu, gdzie czytamy:

Jeszcze budzi cię
burza nad ranem, pilnują cielesności
uszy, oczy,
wierne psy.

Nagie Że, s. 12.

– można by powiedzieć, że w życiu (życiu doczesnym) istotna byłaby „cielesność”. Być może, iż należałoby mówić tu nawet o „cielesności” jako swego rodzaju „substancji”⁷, widząc w niej jeszcze jeden z elementów z hipotetycznej listy „transcendentalistów” poety. „Koniec procesu” – jako wywołany tytułem wiersza temat – byłby wtedy uwidocznieniem końca „procesu życiowego”, nad którym to – do czasu – sprawują swoją „straż prawdy”, póki jest to im dane, uszy i oczy, nasze „wierny psy”. Ale jak wynika z drugiej, końcowej strofy wiersza – „prawda” ta przechodzi w prawdę inną: „prawdę wyższą”, która okazuje się „zbyt zawiła” dla stróżów cielesności; „zbyt zawiła” w sytuacji

kiedy w czaszkę albo w serce we śnie
uderzy grom,
żeby „przeżył cię”, jak mówi Pismo,
„wstyd”.

Ibidem.

W świecie, którego istnienie powoływane jest przez język (a jest takim m.in. świat poezji, świat mowy – jak powiedzielibyśmy za Rolandem Barthes’em – „zawieszającej *signifié*”, świat, do którego należy też oryginalna w swym wyrazie poezja autora *Nagiego Że*), mogą realizować się takie „stany rzeczy”, które w tzw. zwykłym świecie – gdyby zaistniały – przeczyłyby wprost samej jego strukturze. Stwierdzając to, chcemy podkreślić, że poeta podsuwa nam, czytelnikom jego propozycji poetyckiej, niebagatelny, bo doniosły aksjologicznie, i głęboko wymowny, bo nieujawniany wprost, *paradoks* wpisywany w figurę proponowanych sformułowań. Jest tak również w przypadku sformułowania-projektu o brzmieniu: „żeby »przeżył cię ... wstyd«”.

Paradoks o tyle niezrozumiały, że w naturalny sposób – w zgodzie z regułami języka – mówi się coś wręcz przeciwnego; nie to, że „przeżył mnie (ciebie) wstyd”,

⁷ „Jacyś Grecy znów odkrywają ciało” – podkreśli poeta wagę zagubionej, jego zdaniem, „cielesności” jako kategorii również estetycznej – „Wenecjanie namalują je zmysłami” (zob. wiersz *Dekonstrukcja krajobrazu* – S. Czerniak, *Nagie Że*, s. 42).

ale że to „ja (ty) przeżyłem (przeżyłeś) wstyd”. W tym ostatnim przypadku „wstyd” jest czymś kategorięcznie wewnętrznym dla podmiotu doznającego; w pierwszym natomiast „wstydowi” nadaje się „gramatycznie” cechę „czegoś”, co jest zewnętrzne wobec mnie i to „coś” mnie „przeżywa”. W ten sposób „wstyd” ulokowany jest naderzędnie (chciałoby się powiedzieć – „transcendentnie”) wobec mnie jako podmiotowości i nie tyle „p r z e ż y w a mnie”, co „p r z e s z y w a” – niczym „miecz” albo „strzała”. Powiedzielibyśmy zatem, by przywrócić naturalność rozważanej paradoksalnej wypowiedzi zgodną z duchem języka, iż ma być (powinno być) tak, „żeby »p r z e s z y ł cię ... wstyd«”⁸. A wtedy pełna końcowa formuła poetycka interpretowanego utworu uzyskałaby brzmienie następujące:

Lecz już zbliża się ta noc,
[...]
kiedy w czaszkę albo w serce we śnie
uderzy grom, żeby „przeszył cię”, jak mówi Pismo,
„wstyd”.

A i Pismo – wtedy – dopowie „resztę”, która wypełni „całość” w słowach Psalmisty:

W Tobie, Panie, moja ucieczka,
niech nie doznam wstydu na wieki;
wyrwij mnie i wyzwól w Twojej sprawiedliwości,
nakłoń ku mnie swe ucho i ocal mnie!
Bądź mi skałą schronienia
i zamkiem warownym, aby mnie ocalić,
boś Ty opoką moją i twierdzą.

Ps 71: 1-3⁹.

⁸ Jest to jeszcze jedna możliwość transformacyjna „nagiego ż(e)”: „ż” przechodzące w „sz” (ż → sz); dotychczas – przypomnijmy – mieliśmy: „że” przechodzące w „ża” (wy-że-rza → wy-ża-rza) oraz „ze” przechodzące w „rze” i zarazem „rza” przechodzące w „za” (wy-że-rza → wy-rze-za). Ale przypadek „przejścia” „ż” w „sz” spróbujmy scharakteryzować jeszcze dodatkowo. A to w sposób następujący.

Gdyby pójść za tropem Jacques’a Derridy i potraktować formułę naszego poety o brzmieniu (właśnie – „o brzmieniu”, a nie „o postaci”) „żeby p r z e ż y ł cię ... wstyd” jako „pozostającą z dala od sensu zewnętrznego” i będącą przeto „szyfrem szyfru jako takiego” (zob. K. Bartoszyński, *Hermeneutyka a dekonstrukcja*, w: H.-G. Gadamer, *Czy poeci umilkną?* przeł. M. Łukasiewicz, Bydgoszcz 1998, s. 20-21) – jednocześnie widząc w niej, razem z zaproponowanym przez nas jej „odczytaniem” (właściwie – „posłyszeniem”, w artykulacji o brzmieniu „żeby p r z e s z y ł cię ... wstyd”), analogię do dramatycznej kwestii wymawiania, w określonej sytuacji egzystencjalnej, hebrajskiego słowa *Shibboleth*, pozwalającego ujawniać na podstawie jego dwojakiej wymowy, jeśli chodzi o pierwszą głoskę (sz / s?), nie tylko kulturową przynależność bądź też brak tejże jako świadectwa obcości, otrzymalibyśmy „idiomat”, który przy jego możliwej powtarzalności wiódłby do określenia tradycji kulturowej, jakiej tu, dodatkowo, nie trzeba chyba opisywać. A ujmując rzecz najkrócej, stwierdziłibyśmy, że patrząc na parę sformułowań: „żeby przeżył cię ... wstyd” / „żeby przeszył cię ... wstyd” – jako na „przejaw” *szibboletu* – mogliśmy, idąc w śmiałości za sformułowaniami Derridy, powiedzieć przez analogię, iż różnica pomiędzy „ż” i „sz” w słowie nie ma wtedy żadnego znaczenia, jest bowiem „zaszyfrowanym znamięm”, które „trzeba p o t r a f i ć dzielić z innym” (por. sformułowania zawarte w: J. Derrida, *Szibbolet dla Paula Celana*, przeł. A. Dziadek, Bytom 2000, s. 31 – podkr. Derridy).

⁹ Cyt. wg *Biblii Tysiąclecia* (Poznań–Warszawa 1980, wyd. III popr.) – *Księga Psalmów*, przeł. o. A. Janowski OSB i ks. L. Stachowiak – podkr. AB.

*

Wyraźnie inna – kontrastowo odmienna – perspektywa eschatologii zbawczej dotyczy istnień należących do nieczłowieczego świata flory. Bo jakże dramatycznie musi w sytuacji ostatecznej – w kontekście dopiero co zarysowanej perspektywy – zabrznieć żal przedstawiciela świata, który na podobne oparcie w żaden sposób nie może liczyć. Oto jego cicha skarga na to, że nie dostąpi zmartwychwstania w przeciwieństwie do tych, którzy są istotami bogobojnymi albo młodszymi ich braćmi, do których on, wraz ze swoimi braćmi, nie został powołany:

Jam jest dąb dwustuletni
ścięty przez młodego drwala.

Moje ciało rosło wieki,
upadało kilka chwil

[...]

ale nie upadłem
na sarnę, na dzieciola,
nie zniósłbym
takiej hańby.

Nie pragnałem także cudzej żony, brzozy.
Czcilem rodzicielskie dęby.
Nie zdradziłem mego przyjaciela, dzika.
Nie okłamywałem chmur.

Szkoda tylko, że były to cnoty
nierościłne i daremne.

Oto bowiem,
w przeciwieństwie do młodego drwala,
nie zmartwychwstanę
i nie spotkam leśniczego
grającego na fujarce
w niebie.

Z wiersza „Po upadku” – *Nagie Że*, s. 44-45.

*

W pewnym miejscu naszych rozważań wskazaliśmy na możliwość istnienia „prawdy wyższej”, której być może hołdowałby poeta, wiążąc ją z wiarą religijną mówiącą o istnieniu Boga. Tak prosto jednak nie jest. Bo oto pojawia się – jako element świadomości krytycznej – przyznanie się do koniecznego w tym względzie sceptycyzmu.

Po dziecinnej wierze, że istnieje Bóg
pozostała ekscentryczna wiara,
że jest pewna godna zamieszkania przestrzeń
między wiarą i niewiarą w Boga.

– powie poeta, formułując własną wersję „teologii negatywnej” w wierszu pod tym samym tytułem (zob. *Nagie Że*, s. 47-48); i usprawiedliwiając potrzebę wiary, choćby nawet i „ekscentrycznej”, tym, że jest w nas niemożliwa do usunięcia „tęsknota” –

Tęsknota, która żywi się
nieobecnością Boga

– „tęsknota za [czymś] całkowicie innym”, jak określi jej specyfikę posługując się słowami Maksa Horkheimera, które podaje w wierszu w oryginale po niemiecku i w polskim przekładzie w przypisie do wiersza.

Zwracać musi uwagę podwójne przytoczenie słów tego filozofa, pragnące – jak przypuszczamy – zaakcentować doniosłość antropologiczną przywołanej kwestii. Albowiem – jak zauważa Leszek Kołakowski – tęsknota owa ma swe źródło w stale obecnej w kulturze potrzebie odniesienia do „nieempirycznej rzeczywistości bezwarunkowej”.

„Pytania i przeświadczenia metafizyczne – pisze autor *Obecności mitu* – są jałowe technologicznie, nie stanowią tedy części analitycznego wysiłku ani składnika nauki. Jako organ kultury są przedłużeniem jej mitycznego pnia. Dotyczą sytuacji bezwzględnie początkowej świata doświadczenia; dotyczą jakości bytu jako całości (w odróżnieniu od przedmiotu); dotyczą konieczności zdarzeń. Zmierzają do ujawnienia relatywności świata doświadczenia i próbują odsłonić rzeczywistość niewarunkową, ze względu na którą warunkowa rzeczywistość staje się sensowna. [...] objawiają inną stronę ludzkiego bytowania aniżeli pytania i przeświadczenia naukowe: stronę odniesioną intencjonalnie do nieempirycznej rzeczywistości bezwarunkowej. Obecność tej intencji nie jest dowodem obecności tego, do czego jest odniesiona. Jest tylko dowodem potrzeby, żywej w kulturze, by to, do czego jest odniesiona, było obecne”¹⁰.

Toteż i samo zwieńczenie rozważanego wiersza, razem z jego puentującą kwestią –

i zakończy się przygoda obcowania ze wszechmocą,
której nie ma

– wolałbym odbierać nie wprost; nie jako manifestację przekonań poety, z którymi pragnie się podzielić z czytelnikami, formułując swoje wyznanie niewiary, ale bardziej jako konieczne przywołanie dramatycznej alternatywy, której sensu – jakby mogło wynikać z jego słów – nie doświadczymy zapewne inaczej jak u krańca cywilizacji:

¹⁰ L. Kołakowski, *Obecność mitu*, Wrocław 1994 (wyd. I krajowe), s. 7-8.

Kiedy okres ten dobiegnie kresu,
 albo znowu objawi się Bóg – z taką siłą,
 że przywróci ludzkim ciałom utraconą zdolność wiary,
 albo owa Horkheimerowska tęsknota

rozpłynie się we mgle
 [...]

i zakończy się przygoda obcowania ze wszechmocą,
 której nie ma.

*

Cóż zatem możemy, my sami, w zarysowanej sytuacji uczynić? Cóż może uczynić filozofia? Cóż może poezja? Cóż poeta?

Radzimy się u filozofa:

„Do mitu przekonać niepodobna; czynność przekonywania należy do innej dziedziny komunikacji międzypersonalnej, mianowicie do dziedziny, w której moc mają kryteria technologicznej wytrzymałości sądów. Filozofia dyskursywnie uprawiana przyczyniała się nieraz swoją pracą do ożywienia świadomości mitycznej, chociaż nie mogła prawomocnie wtłoczyć treści mitu w zasoby analitycznego rozumu, gdzie w ogólności [treści tej] zdolne są trwać tylko dzięki własnej martwocie – nieczynne i jałowe jak puste okładki książek na półkach biblioteki. Filozofia może tedy, po pierwsze, budzić samowiedzę doniosłości, jaką mają w bytowaniu ludzkim pytania ostateczne. Może, po wtóre, odsłaniać w świetle tych pytań absurd świata relatywnego uznanego za realność samowystarczalną. Może, po trzecie, otworzyć samą możliwość interpretacji świata doświadczenia jako świata uwarunkowanego. Więcej uczynić nie może”¹¹.

Wysłuchujemy poety:

Wiesz, że nie,
 ale „wiesz inaczej”, że nie nie,
 że powinno być w zaświatach TO, co nie,
 a tęsknota jest wyrazem
 tej odkrytej, wycierpianej przez człowieka
 dla INNEGO powinności.

Z wiersza „Teologia negatywna”.

¹¹ *Ibidem*, s. 13.

¹² Zob. *Pomiędzy liryką a filozofią. Rozmowa Stanisława Czerniaka z Lidią Żukowską*, w: S. Czerniak, *Nagie Że*, s. 213-232, a szczególnie to, co zawierają ss. 217-220.

*

I wbrew temu, co wyznaje poeta dyskursywnie w udzielonym wywiadzie¹², opowiadając się za realizacją w swej poezji koncepcji wirtualnego podmiotu lirycznego, w ostatnio przywołanych sformułowaniach – podobnie jak i we wzruszających w swej szczerości wierszach o Matce – występuje on jednak w roli kogoś, komu nieobce byłoby wyznanie liryczne rozumiane jako wyznanie bezpośrednie, tutaj określające w ł a s n e przesłanie o charakterze wyrażnie – po dwakroć – powinnościowym; przesłanie zwrócone nie tylko do siebie, jako do szczególnego wirtualnego odbiorcy, stające się przesłaniem uniwersalnie istotnym aksjologicznie, wskazującym na zespół ważnych, ponadczasowych, wartości.

VII 2009 – I 2010